Intoxicatio medicamentosa — wiedzmin89

W pokoju panował półmrok. Na biurku stała lampa, która nie dawała wiele światła. Obok leżał stos różnych książek. Grubsze, cieńsze, w twardej oprawie, miękkiej, na różne tematy. "On" siedział na kanapie, tuż przy biurku. Wpatrzony w ścianę naprzeciwko oglądał, może liczył wgłębienia i wypukłości, a może tylko tak po prostu, bez powodu, przyglądał się. Do pokoju wszedł "Tamten".

- Witaj. Drzwi były otwarte więc wszedłem. Mam dropsy. Chcesz? – powiedział "Tamten".
- Dropsy. Cukierki w postaci płaskich krążków ułożonych w słupek.- odpowiedział "On".
- Heh… Czasem mam wrażenie, że twój mózg to wulkan. Wyrzuca coś z siebie, a ja nic nie rozumiem.
- Wulkan. Góra powstała przez wypływ roztopionej masy z wnętrza ziemi; są wulkany czynne, z których od czasu do czasu buchają płomienie, dymy, popioły i płynna masa, oraz wulkany nieczynne.
- Ok… Może zagramy w szachy?- zapytał "Tamten" z lekkim zakłopotaniem.
- Szachy. Gra, w której biorą udział trzydzieści dwie figury, mogące w różny sposób poruszać się na szachownicy; gra ta przypomina działania wojenne.
- Wydaje mi się, czy umyślnie bawisz się w sarkazm?
- Sarkazm. Zjadliwość, szyderstwo, naigrawanie się.
- Ok. Zakasowałeś mnie.
- Zakasować. Zaćmić kogoś, przewyższyć, być górą.

"Tamten" wyszedł z pokoju, a "On" dalej siedział. Obserwował ścianę. Czyżby miała za chwilę się poruszyć? A może to z niej coś wyjdzie? Od dawna miał problemy z podejmowaniem decyzji. Nawet tych najprostszych. Nieraz zastanawiał się, czy zjeść coś, czy nie, albo czy wstać z łóżka, czy może cały dzień przespać. Zdecydowanie przeżywał spadek aktywności. Jakby powoli wypadał z obiegu. Lęk. Przed czym? Nie wiadomo. Bliżej nieokreślony.

To wszystko nie pozwalało mu odczuwać przyjemności. Uczucie bezradności, beznadziei, bezsensowności nie dopuszczało dobrego nastroju. Może tylko za dużo myślał? Mimo to zdobył się na ruch potwierdzający istnienie jego osoby, nie życie, a jedynie istnienie. W dłonie chwycił książkę. W końcu lepiej przebywać z nimi niż z ludźmi. Po przeczytaniu kilku stron odłożył ją na miejsce. Wracał wspomnieniami do wczesnych lat, kiedy wszystko było proste. Takie barwne. Nie istniały żadne przeszkody. Nie było strachu przed marzeniami. Myślał, że idzie tam, gdzie chce. Z czasem zauważył jednak, że jakiś wiatr pcha wszystkich w jedno miejsce. Marzyć o ideałach… Zamykać oczy na fakty. To już minęło. I co wtedy? Wtedy zaczyna się rozumieć… A to przynosi za sobą konsekwencje. Myślenie jest groźne. Bo kiedy się myśli, nie można być szczęśliwym.

Codziennie jakby odgrzewał swoje życie. Jak ziemniaki, które zostały z obiadu. Odgrzane nadają się jeszcze na kolację, a patelnia wygląda po odsmażeniu ziemniaków, które spaliły się na głęboką czerń, jakby jej powierzchnie obsiadło setki małych much. Tylko gdzieniegdzie prześwitują jasne miejsca, przypominające przezroczyste skrzydełka owadów. Tak czy siak, nikną w otchłani żołądka, toną w czteroprocentowym roztworze kwasu solnego. Tak i on, co dzień odgrzewał życie, by jeszcze do czegoś się nadało.
Okrywał się kocem w niebieską kratę. Dostarczał minimum ciepła, niezbędnego do przeżycia. Zawsze rano pił kawę i, choć dzięki niej nie musiałby jeść, w prosty sposób doprowadzając się do śmierci, kilka godzin później zaspokajał głód, niewielki, dopominający się jednak swej dziennej racji. To, o co naprawdę gorliwie dbał, to sen. Dostarczał go organizmowi w ilościach, których nie potrzebował - nadmiernych. Ale to przecież nie było szkodliwe. I tak dzień po dniu. Godnie starał się znosić to pasmo

dni. Ale jakich dni? Tych, których tak naprawdę nie mógł już znieść, raniących i pustych. Mimo wszystko udawał, że żyje. Mówiąc szczerze… "On" już zgodził się z wyrokiem śmierci. Zaakceptował go, a może nawet sam na siebie wydał. Był jak muzułmanin w obozie koncentracyjnym – człowiek całkowicie zniszczony duchowo, nie mający ani sił, ani woli do dalszej walki o życie. Ich traktowano z największą pogardą wśród innych więźniów. Nie pracowali, obniżali normę, pochłaniali rację żywności... za nic. Obozowe pasożyty. Być może tak właśnie traktowany był "On". Zamiast współczucia pogarda. Ktoś, kto ciągle narzekał, smęcił, a tak naprawdę nic nie robił, aby zmienić swoje życie. Być może tak był traktowany. Ale czy można ożywić coś martwego? Czy szafa może chodzić i mówić? Czy martwa dusza może znów odczuć radość? Brakuje tej ostatniej kropli, ale kielich, z pewnością, jest już pełny. Odwrócił się od żywych, więc był już martwy - dużo, dużo wcześniej. Brakowało jedynie aktu zgonu. I tu była anomalia. Żywy, martwy człowiek. To nie do pomyślenia. Poznał śmiertelną mękę zwątpienia i rozpaczy, poznał bezsilność. Wyrzekł się siebie.
Czym jest alienacja? Szaleństwem? To zjawisko samoczynne, niezależne, czy należy je dobrowolnie wybrać? Wieczne pytania zostają wiecznie bez odpowiedzi. Bez świadomości można umrzeć. To proste. Nic nie łączy z życiem, wystarczy więc tą ostatnią więź po prostu odciąć. Zapomnieć, że było się człowiekiem, dobrym człowiekiem, że chciało się kiedyś coś zrobić (kiedy jeszcze wierzyło się w możliwość realizacji), zapomnieć, że się było. Wtedy można umrzeć, a nawet instynkt samozachowawczy zmusza do tego. I kiedy już nie kocha się życia… jesteś potężny. Nikt nie utrzyma cię przy życiu. Bo ty go nie uniesiesz. Zarzucą ci je z powrotem na bark, a ty, pod tym ciężarem, znów upadniesz. Nie można wiecznie upadać. Nie można upadać nawet choćby przez dwadzieścia lat. Lecz, kiedy tak właśnie się dzieje, można umrzeć. Bo samobójstwo to nie tylko samobójstwo. Właściwie w ogóle nim nie jest. Jest społecznym morderstwem. Szeregi zdarzeń, mogłoby się wydawać przypadkowych, zabijają nas. To nic, że własna ręka dokonała na sobie mordu. Serce miało tętnić, głośno bić, pompować litry krwi, czerwienić się. A tymczasem jest czarnym suchym lądem, zadeptanym, wykarczowanym, jak amazońskie lasy. Poletkiem, gdzie nic już nie może urosnąć. Takim miejscem, gdzie jakieś resztki drzew straszą pociemniałymi konarami, których pokruszenie się jest kwestią niedługiego czasu. Stamtąd ucieka wszelkie życie. I gdy widzi z daleka ten poligon, na którym umierały nadzieje, marzenia, miłości, kiedy to właśnie widzi, nie podchodzi nawet na wiele kilometrów. Dlatego miejsce to nie odrodzi się nigdy. Bo nikt nie chce, a może boi się, postawić tam nogę. By ta pustka i zgnilizna nie złapała ich za stopę i nie przekazała swojej zbrodniczej nicości. Kiedy zdajemy sobie sprawę, czym jest szczęście, czyli nie tym co mogę mieć, a tym czego nie mam, w miejsce serca powstaje taka oto kraina. W niej - jeziora rozpaczy, morza śmierci, oceany epidemii, wyżyny hipokryzji i niziny wilgoci, góry przemocy i kratery strachu. Wulkany złości. Kraina, która uosobi wszystkie najgorsze uczucia. To nie jest tak, że można coś wymyślić. Jeśli się tego nie czuje, to się tego nie zna. Jakże często śmierć wcale nie okazuje się tak wielkim złem. Większym złem jest wziąć wszystko oprócz życia. To jest znacznie gorsze. Mimo, że czasem ma się więcej niż inni ludzie. W takiej sytuacji należy stworzyć sobie drugi świat, który bardziej się lubi, i rozumie, mimo tego, że nie istnieje.

I gdy tak leżał, okryty niebieskim kocem, z brązową, pomarszczoną poduszeczką pod głową, mającą pewnie być personifikacją drugiej osoby, oglądał swoją martwą krainę. Wymyślał ten drugi świat. I tak myślał sobie: Że pewnym w życiu jest, że nie spadnie z podłogi, nie umrze po śmierci, a operator sieci komórkowej na pewno o nim nie zapomni. Był jak Syzyf. Choć ten z własnej woli nie pozwolił włożyć pod język obola. "On" natomiast nie miał po prostu nikogo, kto by to zrobił. Oczywistym było więc, że będzie tułał się ni to wśród żywych, ni to wśród martwych, co gorsze będzie niż jedno z tych dwóch. Charon nie wysłucha opowieści o złej żonie, nie pomoże, nie zaprowadzi do bogów, nie przeprawi przez Styks. Nawet nie spojrzy w jego stronę. A "On" i tak będzie ukarany niewykonalnym zadaniem.

Planowanie samobójstwa odbywa się fazowo. Najpierw są rzadkie myśli, tylko w najgorszych chwilach, a wszystko ma cechy dalekiej przyszłości. Później myśli są nieco częstsze. Pojawiają się konkretne plany, którym towarzyszy strach. Kolejnym etapem jest przyjęcie do świadomości, że to musi się stać. Nadal jest strach. Następnie myśli nabierają intensywności. Finalnie strach znika, myśli są nieustanne, a wyobrażając sobie własną śmierć, doznajemy spokoju. Zaczynamy uważać ją za wybawienie. Zamiast bać się jej, lgniemy do niej. Oczywiście w międzyczasie, życie traci sens i ogólnie wszystko jest "nie tak". Człowiek staje się kaleki. Robi wszystko najniższym kosztem.
Było już wszystko: alkohol, który robił z człowieka prostaka i wcale nie był taki zabawny. Cięcie, choć niewiele blizn zostało, to faktycznie - na krótką metę - udawało się. Były i narkotyki; raczej najskuteczniejsze z tego wszystkiego. Ale one sprawiają, że stajemy się bezradni.
Człowiek zaczyna dzień śniadaniem, a kończy go... planując śmierć. Dzień lepszy przeplata się z gorszym, a czasem są dni, że czuje się wszystko naraz.

Zastanawiał się niejednokrotnie, czy ludzie biorą go na poważnie. Czy nie myślą, że jest jednym z tych, co tylko mówią? Że robi z siebie ofiarę, a wszystko to, na zamierzony efekt jakim jest współczucie? Na pewno wielu było tego zdania. Wiedział, że udowodni im, iż jest inaczej.

Musiał oddać ostatni krzyk w imię czystości. Jego pokój był w rozpaczy. Oczy błądziły od dziury w ścianie, przez wskazówki zegara, do łuny telewizora z drugiego pokoju, widoczną przez szybę w drzwiach. Zastanawiał się, czy powinien udawać, że nic się nie dzieje, czy zasmakować samotności kompletnej, odciąć się od wszystkich, których dotąd znał. Decyzja, do samego końca, nie została podjęta. Tak samo zastanawiał się nad zostawieniem listu… "A może niczego nie wyjaśniać? Czy mam jakiś obowiązek wobec tych ludzi?" Później zasypiał i budził się, dalej obserwując swoje życie. Było takie same, zupełnie jak w "Dniu świstaka". Słońce zawsze drażniło z rana jego powieki. Otwierał oczy, rozdzielał sklejone rzęsy przeklinając, że zapomniał wieczorem zasłonić rolety. Podnosił się na łóżku, chwilę patrzył przed siebie, wstawał, udawał się do kuchni, a pokój zostawał otulony dźwiękiem skrzypiących sprężyn łóżka. Nalewając kawę do kubka, patrzył, jak cienka warstwa pianki układa się w półokręgi. Przypominało mu to obłoczki z kubańskich cygar, które oglądał w telewizji. Siadał na drewnianym taborecie, krzywiąc kręgosłup. Otwierał dwoma palcami żaluzje (w kuchni zawsze były zasłonięte) i patrzył. Turkusowe niebo zdawało się wszystko pożerać. Entuzjazm słońca denerwował go do tego stopnia, że szurając po zimnych kafelkach, odsuwając taboret, wylewał swoją kawę. I tak była mało aromatyczna. Wracał do pokoju, czytał gazetę, kładł się na łóżko, gapił w sufit...
Ale tego dnia usiadł za biurkiem. Na nim stała ona. Jej rubensowskie kształty kontrastowały z kanciastym, chudym biurkiem. Choć była klasyczna, nadawała pokojowi charakter. Jasnymi dłońmi lekko otulała szczyty gór z książek. Pieściła ich pożółkłe strony namiastką światła, aby chwilę potem, w ciągu jednej sekundy, zgasnąć z powodu kolejnego spięcia. Mimo ciągłych usterek, beżowy abażur zawsze rozświetlał się na nowo. Być może była to forma reinkarnacji?
W jej właśnie strużkach światła czytał listy, które dostał kiedyś. Nie było ich wiele. Przypominał sobie słowa ludzi. Jeden z nich szczególnie zwracał jego uwagę:
"(…) śniłeś mi się… dzisiejszej nocy… pierwszy raz (!). Odwiedziłeś mnie i kiedy już odjeżdżałeś, pociąg zatrzymał się gdzieś wśród pól… Byłam tam z Tobą, wysiedliśmy i rozłożyliśmy się na trawie… przytuliliśmy i… sen się urwał. Dlaczego nie możesz zrozumieć, że w nawet najbeznadziejniejszej sytuacji jest jakieś wyjście? Dlaczego nie spełniasz marzeń? Tak szybko się poddajesz, rezygnujesz… czekasz jeszcze pół roku… w nadziei, że coś się zmieni. Ale do cholery… Ty chyba nie chcesz tych zmian… boisz się zaryzykować, a co masz do stracenia? Właściwie nic… bo co… życie, na którym ci nie zależy (???). (…) zrozum to, jesteś mi potrzebny… choćby do tego bym mogła raz na tydzień się uśmiechnąć, bym popatrzyła w inny sposób na księżyc. (…) pozostaw te egoistyczne myśli i poświęć mi

przynajmniej parę lat swojego cennego życia… cennego dla mnie (!). (…) ból jest trochę mniejszy, gdy ktoś jest przy mnie, a Ty jesteś! I bądź! Przez najbliższy czas nie opuszczaj mnie (…). Powoli się podnoszę, ale proszę… pozwól mi trwać. Pozwól przetrwać te najgorsze lata… proszę…"

*

Stał na ścieżce usypanej grubym żwirem. Przeciągnął wzrokiem wzdłuż drogi, która kilka metrów dalej, zamieniała się w wydeptane błoto. Dookoła było pusto. Ziemia wyglądała jak popiół z pieca. Niebo było czerwone, poprzecinane to szarymi, to czarnymi chmurami. Chciał iść przed siebie, ale jak przez mgłę świtało mu w pamięci, jakby ktoś, czy coś, kazało mu zaczekać na tej drodze. Przypomniała mu się pewna sytuacja… kiedyś obserwował pająka na parapecie swojego okna… chciał go zabić w pierwszym momencie, próbował uderzyć go laczkiem, ale nie trafił. Pająk odsunął się kilka centymetrów dalej… biegał raz do przodu, raz w tył zawsze badając teren dwoma pierwszymi odnóżami… już wcale nie chciał go zabić, a zaczął się przyglądać, sprawiało mu to radość...
Z letargu zbudził go chrzęst kamyków. Ktoś się zbliżał. Na horyzoncie ujrzał zakapturzoną postać. Chwilę potem zauważył w jej ręku kosę. Postać szła powoli i pewnie. Nie widział twarzy, ani ciała - tylko kontur. Pognałby chętnie przed siebie, ale nie mógł oderwać się od ziemi. Paraliżował go strach… a może nadprzyrodzona siła? Postać w końcu stanęła naprzeciw niego. "On" stał wryty i patrzył w głębie oczodołów, oczu się jednak nie doszukał. Śmierć złapała go pod ramię i rzekła:

- Idziesz ze mną.
- Gdzie? Czy ty… ty jesteś śmiercią…
- Tak, tak. To ja. Jestem kościotrupem, mam kosę, czarny fartuch z kapturem i kajecik, a w nim dane po kogo i kiedy mam przyjść. Jak zabijają się sami, dostaję informacje na bieżąco. Natomiast wszystkich, którzy w najbliższym czasie umrą śmiercią naturalną mam zapisanych tutaj. – Postać wyjęła notes oprawiony w grubą skórę – Ale po takich jak ty przychodzę na chwilę, doprowadzić gdzie trzeba. Tego właśnie najbardziej nie lubię. Tracę czas. Ha, ha, ha! A to dobre. Mam wieczność, a mówię, że tracę czas hi, hi, hi. – Kostucha wpadła w dławiący śmiech.
- Ty… ty wyglądasz tak, jak mówili
- Wyglądam tak, jak myślisz, że wyglądam.
- Jak to?
- Nie mam ani wyglądu, ani płci, ani niczego, co dla ludzi naturalne. Wyglądam tak, jak mnie sobie wyobrażają. Mogę wyglądać jak Angelina Jolie, ale komu w dniu śmierci przyjdzie takie skojarzenie. Taką macie wyobraźnię, że z zaświatami łączycie tylko takie durne obrazki, jak kostucha z kosą w ręku, albo Lucyfer z rogami i widłami.
- Umarłem?
- Ha!
- Boże! Idę do piekła? Ale… ja przecież nic… nikomu nic nie robiłem…
- Daj spokój, jesteś doprawdy żałosny… Ja? O rany, kim jesteś? Umarłem? Idę do piekła? Ja nie chcę, co zrobiłem, będę dobrym człowiekiem? Aaa zaraz w gacie narobię! Nie zachowuj się jak wszyscy, przecież nie jesteś jak wszyscy. I nie wzywaj boga, bo to nie jego rejony.
- Czyli jednak jestem w piekle?
- No tego akurat nie da się ukryć. Wyluzuj się.
- Bawi cię to?
- Z tego, co mi wiadomo, jesteś tu tymczasowo.
- Co to znaczy?
- Żeś parchaty. Aaa… pogadasz sobie z Lucyferem.

- Jaki on jest? Jak wygląda? Powinienem się bać?
- Niedługo dojdziemy, to się dowiesz. Ale piekło nie wyżywa się na takich, jak ty.
- Więc po co tu jestem?
- Denerwujesz mnie. On ci to wytłumaczy.

*

Król podziemi wygodnie rozsiadł się na swoim fotelu. Poza owym siedziskiem, ławą i krzesłem nie było w pomieszczeniu niczego przykuwającego uwagę.
Na środku ławy, stał sześcioramienny świecznik i tylko on dawał odrobinę światła.
"On" niepewnie usiadł na krześle, po uprzednim, zapraszającym geście Diabła.
- No to witam pana w Piekle, hotelu dla zbłąkanych, co się nie odbłąkali, niegrzecznych, grzesznych, zbuntowanych, zdemoralizowanych i innych. Ogółem rzecz biorąc - złych ludzi. Jestem Lucyfer i trzymam ten biznes w łapskach. Niestety… nie zabawisz tu zbyt długo. Szkoda. – Złowieszcza postać wyszczerzyła zęby w szyderczym uśmiechu, a w oczach błysnęło coś nieopisanego, na pewno nie budzącego jednak pozytywnych emocji.
- Dla.. dlaczego tutaj trafiłem? Kiedy stąd wyjdę?
- Szczerze mówiąc to zależy od ciebie.
- A co muszę zrobić?
- Tak… faktycznie musisz coś zrobić. Prosta rzecz. Masz przejść korytarz swojego życia, aby móc do niego wrócić.
- Nie rozumiem.
- Oczywiście. Nikt nie rozumie. Nie szkodzi. Wytłumaczę ci jak umrzesz naprawdę. Tylko wtedy będziesz miał odpowiednio dużo czasu. Opowiedzieć ci coś?
- A mam wybór?
- Nie. Choć i tak nie będziesz tego pamiętał, przynajmniej niewiele. Tak na serio, to skoro tu jesteś musisz zapoznać się z procedurą przebywania w zakładzie zamkniętym pod nazwą Piekło. Może wtedy nie będziesz chciał tu za szybko wracać. Standardowo, przez pierwszy miesiąc, ludzie są tylko przypiekani. Dla ułatwienia, żeby nie burzyć waszego porządku, jest dwudziestoczterogodzinna doba. Osiemnaście godzin twoje dupsko smaży się w ogniu, leży w żarze, albo gotującej smole, obojętnie, różnie to bywa. Sześć godzin przebywasz w swojej celi. Ma rozmiar dwa na dwa. Nie ma w niej nic, bo nic się nie zmieści... Jesteśmy na tyle litościwi, że w naszym hotelu nie odczuwasz potrzeb fizjologicznych. Ale uwierz, że siedząc sześć godzin w ciemności, bez wielkich możliwości ruchu, to nie jest wielkie udogodnienie. Po miesiącu zostajesz wcielony do skazańców pracujących. To znaczy, że jeden dzień smaży ci się dupa, a na drugi dzień tyrasz przy powiększaniu naszego przybytku. Kopiesz, kujesz, przenosisz, co tam trzeba, to robisz. Wszystko jest na ogół cięższe niż jesteś w stanie unieść i bardziej skomplikowane. Do tego nieludzko wysoka temperatura. Zaznaczę, że ból odczuwasz tak samo, jak za życia. Tylko, że nie możesz zemdleć ani umrzeć, bo już to zrobiłeś ha, ha, ha. A obiecuję, że będziesz chciał umrzeć po pierwszym dniu tortur. Niestety będzie to niemożliwe hi, hi. Kumasz ironię? Mniejsza. Jest to coś w rodzaju obozu koncentracyjnego. Tortury, praca, tortury, praca. I nic poza tym. I nigdy nie ma końca. Doprowadzaniem do miejsc i torturowaniem zajmują się chochliki.
- A osobiście to co robisz?
- Ja? Ja nie muszę robić niczego. Przechadzam się i dogadzam swoim sadystycznym zapędom, oglądając ludzkie cierpienia i myślę, jak zadać ich więcej i boleśniej. W gruncie rzeczy jestem dobry. Karzę złych ludzi. A, że mam trochę sadystyczne skłonności… cóż nie można mi tego nie wybaczyć.
- Nie jest to pokrzepiająca perspektywa.
- Starczy tych opowiastek. Powiem tak. Radzę dobrze się zastanowić, co chcesz zrobić. Już wiesz, że

śmierć nie dostarcza ukojenia, którego tak wielu w niej szuka.
- To nie ma sensu. Człowiek męczy się przez lata na przekór sobie, stara się żyć, nie daje mu to żadnej przyjemności, a po śmierci jest jeszcze gorzej.
- Tak jest, gorzej. Dzień pracy będzie dla ciebie świętem, a tortury… torturami. Tak więc weź się za to swoje życie i je wykorzystaj. Najlepiej korzystaj z niego w sposób, który zapewni ci powrót tutaj. Prowadzimy usługi 24/7 i nigdy nie brakuje miejsc ha, ha. Dobra, koniec tego dobrego. Przejdziesz przez tamte drzwi na końcu pokoju i jesteś z powrotem.
- Co tam jest? Mam tylko przejść do końca? Długi jest?
- Po drodze będziesz napotykał drzwi. Niezbędne jest, abyś do nich zaglądał.
- Tylko patrzeć?
- Nie wiem, zależy od okoliczności. Od tego, co tam będzie. Być może jakoś ci to pomoże, coś sobie uświadomić. Jeśli odczytasz symbole. Jeśli będziesz na tyle uważny, że w ogóle je zauważysz...
- Pokoje, symbole, o co tu chodzi? To sen. To nie może być na serio.
- ...pozostanie ci po tym tylko wspomnienie, coś w rodzaju snu. Poniekąd masz rację.

*

Miałem sen. Blada żarówka kiwała się, smagana niewidzialnym oddechem. Jakieś stare okno, umiejscowione tuż pod sufitem, otworzyło się nagle, wpuszczając, do nierówno otynkowanych ścian, świst wiatru.
W oddali, na środku korytarza stała szkolna ławka. Ktoś przy niej siedział.
Kolejny krok pozwolił dojrzeć, że był to starszy mężczyzna. Mimo, że stałem daleko, był on niezwykle wyraźny. Miał na sobie koszulę w kratę, pedantycznie wyprasowane spodnie, w kant. Grube okulary wrzynały się w jego pomarszczone skronie. Twarz była beznamiętna, oczy puste, skóra poorana licznymi zmarszczkami. Wpatrywał się w mały, wyłączony telewizor.
Spojrzałem na podłogę i zacząłem schodzić w dół, po śliskiej zjeżdżalni. Nie mogłem się zatrzymać. Próbowałem oprzeć się o ściany, ale okazało się, że nie są one tak blisko, jak mi się wydawało. Zobaczyłem przepaść. Nagle zatrzymałem się. Stałem nad nią. Nie widziałem nic prócz czerni. Wtedy ktoś mnie pchnął.

*

Do sali wszedł lekarz.
- O, widzę, że bohater nam się obudził.
Usiadł na łóżku i spytał:
- Czemu pan to zrobił? – Odpowiedziała mu cisza.
Pytające oczy lekarza napotkały tylko puste, nie zainteresowane spojrzenie. Szukały tam odpowiedzi, ale jedynce, co znalazły, to brązowa toń przeszyta czarnymi paciorkami.
- Za godzinę będzie wypis. Może pan się ubrać, ciuchy są w szafce. Proszę udać się do poradni zdrowia psychicznego.

*

Epikryza: Przyjęty po około dwóch godzinach od zażycia 40 tabl. Acodinu. Przedmiotowo spowolniały, senny, tachykardia 140/min. RR 140/90. Po wymuszeniu diurezy podażą płynów ustąpienie objawów. Wypisany w stanie dobrym.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wiedzmin89, dodano 23.07.2008 19:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.